

Transkrypcja wywiadu z:

Wandą Pawłowską



CYFROWE ARCHIWUM
POMORSKICH KRESOWIAKÓW

Wywiad przeprowadzili:

*Joanna Aleksyuk,
Aleksandra Patalon*

Transkrypcja:

Judyta Warzecha



CYFROWE ARCHIWUM
POMORSKICH KRESOWIAKÓW

Białystok, to było miejsce docelowe, tak?

- Ale to nie miało znaczenia, człowiek mógł cokolwiek napisać, a nikt nie wiedział co napisać, bo wyjeżdża w nieznane. Niektórzy mieli tam kogoś z rodziny, no to tam jechali, a my nie wiedzieliśmy. Większość pisała Białystok. I można było jechać dalej. Jechaliśmy chyba dopiero pod koniec maja, kiedy wylądowaliśmy to był koniec naszej podróży. Pociągi były takie towarowe.

(Pani Wanda pokazuje zdjęcia) To jest wyjazd ludzi z Białegostoku, nie... z tego... z Baranowicz wyjeżdżali w 45 roku i ja wam skseruje też to zdjęcie. Potem co tam było? My ze strachu jechali. Większość tych rzeczy przywieziona z Wilna. Jechała z moją mamą jej siostra, która prawie miała trzy walizki i nic więcej. Z córką. Jej mąż był w wojsku polskim gdzieś tam u sowietów, a ona nic...

Ci z Białegostoku, którzy wyjechali, Polacy z Wilna, pisali: - bierzcie wszystko i nawet szczotkę do zmiatania. Bo sklepów nie było, nie pójdziesz i nie kupisz. Jak jechaliśmy to było tak, że mieliśmy ze sobą i suchary i co można było ze sobą wziąć, i kartofle i cebule jakąś, nie wiem. Było zimno wtedy. Ja pamiętam, że cały czas jechałam w płaszczu zimowym. Pianino było deskami obłożone i ja spałam tu na tym... A było łóżeczko, mój brat urodzony w 41 roku, to wstawiliśmy łóżeczko i w tym łóżeczku spał. Jak rano się obudził, *“ojej poczekajcie zaraz wstanę i zaraz pojedę razem z wami”*.

Jak dojechaliśmy do Białegostoku, to mama nas wszystkich budziła: - *Dzieci! Patrzcie! Polskie flagi, polskie flagi.*

Ale po drodze zatrzymywaliśmy się w miejscach przypadkowych. To się załatwiało, ale wszyscy mieli przy sobie i tak nocniki, bo przecież do końca maja trzeba było coś mieć ze sobą. Gotować, niektórzy mieli maszynki. Nie wiem skąd mieli denaturat czy jak grzali, nie wiem nawet. Niektórzy palili ogniska. Ale najgorsze było, że nie wiedzieliśmy nigdy jak długo pociąg będzie stał. Więc w pewnym momencie, pociąg powoli gwizd i wtedy wszyscy wołali jeden do drugiego żeby wskakiwać, garnki z powrotem do pociągu no i jechaliśmy dalej.

Potem przejeżdżaliśmy koło Warszawy. Same ruiny, patrzyliśmy przerażeni. Smutno. Przykre... Potem, nikt nie wysiadał tam. Gdzie w ruinach wysiadać. Niektórzy wysiedli jak dojechaliśmy do Torunia. Sporo osób wysiadło w Toruniu. M.in. mojego ojca siostra w drugim wagonie jechała ze swoją rodziną, wysiadła też w Toruniu. My dojechaliśmy, aż do Gdyni i w Gdyni był koniec podróży. Kazali nam opróżnić wagony, bo były potrzebne wagony, a w tym czasie jeńców żołnierzy niemieckich z Helu prowadzili już jako jeńców. W mieście pełno wojska sowieckiego, trzeba było bardzo uważać, bo potrafili złapać i na roboty gdzieś i na odgruzowanie i nie patrzyli czy ktoś po polsku mówi czy po niemiecku. W ten sposób moją kuzynkę rok młodszą, ona już miała wtedy nie wiem ile lat, też złapali. Ojciec poleciał i potem się wyklócił po rosyjsku i zwolnili ją z tego marszu gdzieś tam do odgruzowywania. Co dalej? No zatrzymaliśmy się w Gdyni, wyrzuciliśmy wszystkie rzeczy na peron. I teraz trzeba było, część niektórzy pilnowali, a inni poszli szukać gdzieś jakieś mieszkania. I wiecie było bardzo dużo cwaniaków, na wszystkich prawie drzwiach było napisane: „Zajęte przez Polaka w 39 roku”. Jak była taka kartka to już nie



CYFROWE ARCHIWUM
POMORSKICH KRESOWIAKÓW

wchodziliśmy, bo myśleliśmy jak my wrócimy do Wilna to też pójdziemy do swojego domu i będziemy chcieli tam wejść. Też nas wpuszczą chyba przecież.

No więc parę nocy nocowaliśmy na tym peronie z tym, że był taki urząd repatriacyjny gdzie dawali po, ja nie pamiętam ile, chyba nawet nie wiedziałam, bo ojciec szedł, ileś tam złotych. To była cała pomoc. Potem ojciec znalazł mieszkanie pod Chylonią. To był budynek, który miał zrujnowaną ścianę frontową. Wszedł tam i tam rzeczy zwoziliśmy, no i ciągle ktoś pilnował tych rzeczy z uwagi na dziurę. Bo to przecież nie było tak łatwo dziurę załatać. A my, mama z tą moją rok młodszą kuzynką chodziłyśmy razem, potem jej matka znalazła takie mieszkanie w Sopocie przy „Monciaku” przy tym tunelu. Budynek, który stoi jak pociągi jadą, taki drewniany i tam zamieszkała. ...

Były piękne domy, wille. I były rzeczy pozostawione jakieś, jakieś klawesyny takie dziwne rzeczy, ale ludzi... Sopot chyba był prawie cały pusty. W Gdańsku jak tu, Niemki, do Gdańska baliśmy się iść bo były plotki, że Niemcy mordują Polaków. Ale właściwie mężczyzn nie było w ogóle widać, tylko wszędzie były kobiety z dziećmi. I np. tutaj w naszym domu, my jeszcze tu nie mieszkaliśmy, jakaś Niemka która... Bardzo dużo Niemek sprzedawało swoje rzeczy jakieś tam ubrania, a wiece nie było przecież w czasie wojny ubrań. W mieszkaniach były tylko Niemki, Polacy przychodzili i wprowadzali się do tego mieszkania. Przy czym przeważnie byli to wojskowi i nie wiem jaka tam, gdzie oni nocowali i gdzie mieszkali ale wojskowy zajmował mieszkanie. I już był miał i kucharkę i kogoś do spania, i miał mieszkanie na przyszłość. Bo potem moja mama dogadała się z jakąś Niemką, ona chciała coś sprzedać, mama mówi: - *nie, my wszystko mamy, my chcemy mieszkanie*. A ona mówi: - *Niech pani się wprowadzi do mojego mieszkania, ja sprzedaje rzeczy* - widać jakaś sprytna i operatywna – *i chcę wyjechać do Niemiec jak najszybciej*.

No i mama złożyła wniosek na mieszkanie i dostała przydział na to mieszkanie i jak wesliśmy to już tej Niemki nie było, a na dole była jakaś Niemka, miała chyba czworo dzieci małych i już tam wprowadziła się do niej jakaś Polka, my na nią mówiłyśmy Groźna Pani, bo ona tak zawsze wszystkich wymyślała, zwracała uwagę na wszystko. No my byłyśmy smarkate to bałyśmy się, babsko wymyślało nie wiadomo za co (śmiech). Tej Niemki ja nigdy nie widziałam, a miała chyba najstarszy syn jej miał chyba jakieś 10 lat. Gerhard się nazywał. Ja byłam zadowolona, bo pierwszy raz mogłam wykorzystać swoją niemiecką szkolną. Bo przedtem z nikim nie rozmawiałam. Tam było chyba czworo dzieci, najstarszy miał 10 lat i jeden rzeczy mnie nauczył, ja byłam jedyna córka, a miałam dwóch braci młodszych. Ale jak dostawałam prezent no to był dla mnie, poza tym byłam w rodzinie jedyna dziewczynką, tam wśród innych ciotek, więc wszyscy mieli bzika na moim punkcie. Jaka mądra, jaka ładna. Oczko w głowie. Co było dla mnie to było dla mnie. A wtedy było bardzo trudno o żywność, nie było tu żywności, bo jeszcze te fabryki nie pracowały, zakłady dopiero chyba tworzone. Ojciec któregoś dnia przyniósł skądś chleb mleko, a ten Gerhard... U nas wody nie było w kranach, tylko po wodę trzeba było chodzić tam dalej na Chrzanowskiego, więc ten chłopak mi pokazał gdzie można wodę nabrać. Woda potrzebna do mycia, do gotowania i do wszystkiego. Więc on u nas ciągle laził do nas i on był tutaj i ojciec przyniósł to mleko i ja mówię: - Tata, daj Gerhardowi też. Tata nalał: - Pewno, że dam! Tata nalał chłopakowi, a ten mu podziękował i mówi: - Przepraszam, czy ja mogę zabrać to na dół bo tam są młodsze dzieci? To na całe życie mi zostało, że czegoś się nauczyłam od dziecka. A byłam starsza przecież od niego.



CYFROWE ARCHIWUM
POMORSKICH KRESOWIAKÓW

Przyznam się, że któregoś dnia, bo nie zawsze nocowaliśmy tutaj, czasem jechaliśmy do tej ciotki w Sopocie, bo baliśmy się jednak tutaj zostać w tym Gdańsku. I do Sopotu jechaliśmy, wtedy było nas więcej, razem. I tam nocowaliśmy. I któregoś dnia przyjechali my tutaj, a już Niemca tych, tej rodziny nie widziałam. Raz przyprowadził młodszego chłopaka, taki czyściutki w krótkich spodenczkach, malutki. Już ich więcej nie widziałam.

I dopiero po latach, ja wiem, który 50 czy... nie, no tyle lat chyba nie było. Któregoś dnia idę, a nasz dom był ostrzelany przez kule, nawet w drzwiach łazienki była dziura, bo pewnie jak strzelali to trafiło. Stoi od strony podwórka, jakaś grupka starszych ludzi i jeden z tych panów tłumaczy, opowiada, coś tam tego. Ja przeszłam obok, przeprosiłam i pytam: - *Czy państwo tu mieszkali? A oni po Niemiecku, że tak.* (Pani Wanda przytacza krótką rozmowę po niemiecku między nią, a grupką ludzi z której wynika, że jeden z mężczyzn to wcześniej wspomniany Gerhard). I oni mieszkali pod nami, piętro niżej i oni chcieli zobaczyć to mieszkanie. Ale ten sąsiad, który tam mieszka nie wpuścił ich do siebie. Ja mówię: - *To może ja zaproszę Państwa do siebie ale wtedy kawy też nie było jeszcze.* Bo w PRL-u też nie było tak łatwo o kawę, zaprosiłam do siebie no i porozmawiałam z nimi. Pytałam czy myślą, żeby tu kiedyś wrócić, bo ja jestem urodzona w Wilnie i my właściwie już teraz nie chcemy wrócić bo tu mamy groby babci, babcia nasza tu umarła, tam już nikogo, znajomych nie ma, tu mamy swoich znajomych. A on mówi: - *O nie, nie wrócimy.* I wiecie do czego mówi, bo potem się okazało, że oni są bardzo dobrze urządzeni. Wyjechała samotna kobieta z kupką dzieci, miała jakieś ogrodnictwo i jak ci którzy przyszli tutaj to wiecie, zaprosiłam ich do siebie i pokazałam im, no album jakiś wileński żeby zobaczyli i zrobiłam, chyba lody miałam. Tylko te lody, no i konfiturę własną z wiśni, to do tych lodów dałam, kawy nie było. No i potem oni wychodząc, ten Gerhard mówi, że pod tym albumem z Wilna zostawił dla mnie „gelz” pieniądze i tam było sto marek. Ja mówię: - *Nein. Ja nie robiłam tego dla pieniędzy.* *Och, och* jak to Niemcy, ja mówię: - *Proszę zabrać.* I on zabrał i potem chyba godzinę później, wyobraźcie sobie, dzwonek z kwiaciarni Gość z takim bukietem kwiatów i doniczką z draceną, w kwiaciarniach wtedy tylko draceny sprzedawali. I przyniósł mi. Ale jak umrę to od nikogo takiego bukietu nie dostanę jak tu. Brat mówi: - *Wanda to do ciebie.* Podziękowałam i tyle. I wiecie, że po jakimś czasie on napisał do mnie, kiedyś przyjechał. Przywiózł mi w prezencie sweter, kolor okropny był, ale co ja powiem na kolor, farbę, a ja mówię: - *No, wspaniale.* Bo co miałam powiedzieć, to prezent. No i wiecie, że tu jest sterta listów, ja z nim po dziś dzień prowadzę korespondencję. Z tym, że niestety to już jest jego siostra i bracia bo... i tego młodszego, który był też u nas, bo któregoś dnia, ponieważ już mnie dali ten sweter, kawę przywieźli ja byłam na jakimś odbiorze.

Ksiądz Bogdanowicz z Bazyliki Mariackiej wydał książkę o Bazylice Mariackiej i to była promocja tej książki. Ja znałam, to była obecna garstka ludzi na promocji tej książki, ja pytam: - *Proszę księdza, czy ja mogę prosić o dedykację, chcę to podarować Gerhardowi.* To było chyba nawet w języku niemieckim, no i napisał Gerhardowi. I ja wysłałam. I wyobraźcie sobie ja wysłałam, a bardzo szybko później dostałam list od jego brata i pisze: - *„Dziękuję za przyslaną książeczkę ale dzisiaj mam smutne zadanie, muszę się nim podzielić, że pan Gerhard Braun 25 juni 93 roku dla nas zupełnie nieoczekiwanie zmarł. I życzę w przyszłości Pani dużo dobrego”* I równocześnie do tego była załączona taka informacja po niemiecku. Dostałam. – *„Mój kochany mąż, nasz ojciec i dziadek, brat i szwagier – 25 juni 1993 nieoczekiwanie zmarł.”* No i w uwagach



CYFROWE ARCHIWUM
POMORSKICH KRESOWIAKÓW

jest jeszcze w końcówce, że podczas tej uroczystości nie dawać, nie kupować kwiatów tylko pieniądze przeznaczyć na głodujące dzieci. Tutaj jak przyjechali po latach, Gerhard już nie żył, ja z jego żoną teraz koresponduję. (Pani Wanda pokazuje zdjęcia) Przyjechali do nas, byli i tu jest mój pokój, tu jestem ja, tutaj brat Gerharda mojego Helmut i jego siostra, nie żona. Tutaj w ogródku. Tu przed naszym domem. A kiedyś przyjechali, byli u nas, brat kupił jakieś ciasto, a oni nas w rewanżu zaprosili do Jelitkowa do takiego hotelu, bo w hotelu mieszkali, a poruszali się, bo mieli taki mikrobusik z kierowcą tutejszym. Popatrz, ich stać na to było, kogo wtedy stać na to było.

Oni mieszkali w Niemczech, a w jakim mieście? W Berlinie?

- Nie. Czekaj, jak to się nazywa... Głupio się bardzo nazywa ta miejscowość. Oni mają ogrodnictwo... (Pani Wanda szuka adresu) Wildenbergen! To jest ich adres. Ja nawet nie wiem gdzie to jest, nigdy w mapie nie sprawdzałam. Kiedyś przyjechał, już po śmierci Gerharda, jeden z tych braci, bo był jeszcze jeden Klaus. Przyjechało dwóch braci, ten Klaus ma biuro podróży i zaproponował mi, że bardzo mnie zapraszają, żebym przyjechała do nich do Niemiec. Że przejazd opłacą, że będę u nich mieszkała, nie potrzebuję nic ze sobą brać. Ale wiecie, każdy ma swoją ambicję, jak dla mnie wtedy było ciężko finansowo. Myślę sobie, przecież nie pojedę tam, a to drogo tam było wtedy, będę potrzebowała pójść do ubikacji, jechać tramwajem i co? Może by mi dali ale moja ambicja nie pozwalała żeby...

Niezręcznie by się człowiek czuł po prostu?

- Tak.

Co Pani pozostawiła w Wilnie? Za czym Pani tęskni najbardziej?

- Za swoją młodością. Szkoła, koleżanki ale tak dziwnie, że wiecie. Moi rodzice nie mówili, kiedy wyjeżdżamy bo wiecie bali się, że ja wypaplam. Bo ja rzeczywiście byłam zawsze wielka papla. Że ja wygadam i przed wyjazdem mogą nas aresztować, zatrzymać. Więc nie mówili kiedy będziemy wyjeżdżać. Więc któregoś dnia, mówią: - Dzisiaj wyjeżdżamy. I ja się nie zdążyłam z moimi przyjaciółkami pożegnać. Żadna nie wiedziała, kiedy ja wyjeżdżam.

Pani nie ma z nimi kontaktu do dzisiaj, rozumiem?

- Wyjeżdżałam i nie wiedziałam dokąd. One zostawały. Jedna z nich była w bardzo trudnych warunkach, bo była córką pułkownika Wojska Polskiego. Ojciec gdzieś zginął, nie było wiadomo gdzie. Przed wojną, żeby kobieta była żoną pułkownika, musiała mieć maturę, wykształcenie. Z tak zwanego dobrego domu. I ta mama nic nie umiała robić, więc te moje koleżanki, Janka taka właściwie była głodnawa. Więc jak przychodziła do mojego domu, to mama jej czasem chyba dawała coś jeść. Bo ja byłam, byle jak, ale karmiona byłam. Przecież cukierków czy ciastek nie jadłyśmy. Ale coś tam było. I jej brat zmarł na gruźlicę. Matka leżała w łóżku i w rękawiczkach, bo przynosiła jej z biblioteki książki, dlatego w rękawiczkach. I nic nie umiała robić. Była jakaś służąca, dopóki miały jakąś biżuterię to ta służąca sprzedawała tę biżuterię i utrzymywała, pomagała im. A potem się zabrała. Henio, brat tej mojej Janki, zmarł na gruźlicę. Myśmy poszły do



CYFROWE ARCHIWUM
POMORSKICH KRESOWIAKÓW

szpitala we dwie, nic jemu nie zaniósłszy bo co mogliśmy zanieść. I on już taki umierający, no i Janki nie było.

I słuchajcie po latach okazało się, że ona wyszła za męża, mieszka w Szczecinie i odnalazła mnie, i była u mnie w ubiegłym roku i do mnie telefonuje. I rozmawiamy ze sobą bardzo długo. Mam jej zdjęcie gdzieś tam i młodych lat i Janki teraz. I chyba w Szczecinie lepsze warunki były dla Polaków bo widzę, że mają jakieś... No nic chyba nie dostali, odszkodowania, bo to nie był ich dom. Ta rodzina mieszkała w domu, który należał do generała Żeligowskiego, gdzieś nad Wilią i była powódź i temu domowi groziło, że runie bo brzeg nie uregulowany, więc... I potem dali bliżej, przy Witoldowi, a my mieszkaliśmy przy, właściwie przy Moniuszki, grałyśmy w dwa ognie. To była taka gra, wychodziło się na ulicę, dwie i w piłkę cały dzień. A przed naszym domem, to był dom Ordy, duży, duży tam było chyba ze sto mieszkań. I właśnie na jezdni, na ulicy samochodów nie było. Przecież na rynek, przez naszą ulicę żaden wóz nie jeździł. Kto miał, ten Żeligowski może miał samochód ale on mieszkał na Kalwaryjskiej i nie widziałam nigdy ani generała ani samochodu. Dla nas to nie było ważne.

I wiecie, naprzeciwko była poczta, była skrzynka pocztowa. Namalowano orła i namalowano pogoń i my za każdym razem nim zabraliśmy się za dwa ognie, to któreś podchodziło i drapało tę pogoń żeby wydobyć orła. No ale mimo wszystko, nie należy mieć zaufania i do przyjaciół. Po jakimś czasie ktoś, policjant litewski, bo była policja litewska i pytał kto to zrobił. I powiedzieli, że Wanda Pawłowska, no i nie mówiąc nikomu co i jak, nikt mi nie mówił. Mój ojciec dostał wezwanie, że ma się razem ze mną zgłosić do komisariatu, gdzieś tam za Ostrą Bramę, nie za daleko. Poszliśmy do tego komisariatu, ojcu kazali zostać, mnie wprowadzili. – Drapałaś? – Drapałam. – Widzisz, jak ty taka Polka, no ty jedź do Warszawy! Ja mówię: - Proszę pana, pan powinien wrócić do Kowna, nie będzie pan musiał zamalowywać polskich skrzynek. I wyobraźcie sobie zostałam skazana, była rozprawa poza mną. Zostałam skazana na siedzenie w domu poprawczym na Litwie gdzieś tam po Połongą, do zniesienia stanu wojennego na Litwie. W związku z tym, znowu innymi drzwiami, ojciec tam siedział, a mnie wyprowadzili innymi i zaprowadzili do więzienia przejściowego na zapleczu kościoła św. Katarzyny. I to było duży pokój, gdzieś tej wysokości, taka zbita z desek przez cały ten pokój no prycza, nie prycza, no taka do spania. A tu tylko podłoga. Ubikacji nie było i w wiadra nie było. Trzeba było zastukać, przychodził strażnik i prowadził do ubikacji i ponieważ to było przejściowe, tam się siedziało tylko, więc przychodziła strażniczka i trzeba było u niej złożyć zamówienie, co chcesz to ona ci kupi za jedną dobę dawali lita. To jest prawie wartość jednej złotówki, to było dużo ale ja nie miałam przy sobie pieniędzy ale mnie posadzili w tym pokoju razem z kobietami, to one: - *Biedne dziecko*, tego śmego i owego. To one mnie nakarmiły, zaopiekowały się mną. No i później stamtąd wyszłam po wyroku to pozwolono mi pożegnać się z rodzicami. I rodzice jak mnie wyprowadzili z tego więzienia, już nie do domu tylko gdzie indziej i musieli mnie ukrywać, aż do czasu kiedy dopóki przyszli Niemcy. Bo mnie szukali ale ja byłam ukrywana. I teraz jak Żydzi mają takie pretensje, że nikt ich nie ukrywał. To ja byłam polskie dziecko przecież i ludzie bali się mnie wziąć do siebie. Mieszkania były małe to gdzie ten bachor będzie siedział przez cały czas. Ukrywać był problem. Także siedziałam w domu, bardzo dużo czytałam. Bo byłam w mieszkaniu takiej, która miała strasznie dużo książek. „Mały lord”, „Tajemniczy ogród”. Ja to ciągle łykałam, czytałam, czytałam. Ale nie wychodziłam na dwór, musiałam siedzieć ciągle. Różne były mieszkania, tam najdłużej byłam. Czyraki mi opadły na siedzeniu, awitaminoza itd. No i wtedy przyszli Niemcy. Mama zmieniła mieszkanie.



CYFROWE ARCHIWUM
POMORSKICH KRESOWIAKÓW

Przeprowadziliśmy się na Moniuszki na Witoldową, koło cerkwi. I nigdy nikomu nie mówiliśmy o tym i nawet w Polsce, z uwagi na to, że Litwini są pamiętliwi, a władza była niepewna dla nas ciągle i mama się bała, żebym nie trafiła z powrotem do kryminału. I dlatego. Inna rzecz, żeby do Wilna pojechać trzeba było mieć zaproszenie, a ja nie miałam. Nie mieliśmy kogo, ani ze znajomych ani z rodziny, kto mógł by nas zaprosić.

A mama poza tym mówiła: - *Będzie wycieczka jakaś, sprawdzą czy nie jesteś na liście i zatrzymają ciebie.* Mama nie pozwalała jeszcze jechać(śmiej). I to było moje życie. Skończyłam, poszłam tu w Gdańsku maturę zrobiłam w Sopocie. Przez rok pracowałam w laboratorium farmaceutycznym. Poszłam na farmację.

Skończyłam studia farmaceutyczne, dostałam przydział pracy do Wejherowa, z tego byłam bardzo zadowolona, bo niektórzy dostawali wtedy te przydziały pracy gdzieś tam do takiej pipidowy. Myśmy marzyły, że może nas wyślą do Elbląga, tam kilka koleżanek. Pojechaliśmy do tego Elbląga, Elbląg zniszczony, rozbity, też nieciekawo. No i na komisji profesor, który był z farmacji, jeszcze dermatologii, pyta: - *Pani magister.* Popatrzyłam. Moja ciotka pewnie przyszła Pani magister Pawłowska, to na pewno ciotka. Pani, pani – pierwszy raz w życiu ktoś do mnie powiedział Pani magister(śmiej). Mówi: - *Czy pani chce do Wejherowa?* I umówiłam się z koleżankami, byłam niewierna i powiedziałam: - *Tak!* Bo wtedy można było pociągiem elektrycznym dojechać do Gdyni, a z Gdyni dalej parowym. No i pracowałam tam przez dziewięć lat. Zakładałam laboratorium, bo to w 54 roku powstały sanepidy, laboratoria. I ja tam byłam kierownikiem pracowni badania żywności i wody. Byłam tam przez dziewięć lat i było mi tam bardzo dobrze. Ale w 63 roku, mojego ojca siostra zachorowała, miała raka. Była w akademii, była sama. Nie! Jeszcze wcześniej. Ojciec zmarł w roku 57. I ja miałam już wtedy trzech braci młodszych. Mój ojciec był prywatną inicjatywą i nie dostawał zasiłku na dzieci. To zostałam z mamą, która była już chora, a musiałam utrzymać tę rodzinę. Wzięłam dodatkowe pół etatu w aptece i przez rok pracowałam w sanepidzie w Wejherowie, potem o trzeciej szłam do pracy w aptece do dziewiętej. I o dziewiętej miałam pociąg, wracałam do domu do Gdańska.

I tam przepracowałam tylko rok, potem po roku dostałam zwolnienie, a potem starałam się znowu i zaproponowano mi pracę w aptece tutaj w naszej dzielnicy. I osiemnaście lat przepracowałam dodatkowo na pół etatu w aptece. I nawet mile wspominałam, bo były babki, wiecie – rozmawialiśmy ze sobą, takie jakieś kontakty były. W między czasie byłam kierownikiem nadzoru sanitarnego w dziale higieny żywienia i żywności w wojewódzkiej stacji sanitarnej. I poszłam chętnie nawet, dlatego, że ciotka były w akademii. Na raka umierała. To ja w ramach pracy mogłam w tym fartuchu przejść tylko przez ulicę i pójść do ciotki do szpitala.

No i takie było moje życie.



CYFROWE ARCHIWUM
POMORSKICH KRESOWIAKÓW